Nr. 26. Kraków, dnia 27 Czerwca 1909. Rok XII.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu ulica Pijarska 13.

Redakcya i administracya znajdują się w Krakowie, ul. Pijarska 13.

OBRONA LUDU

Wychodzi w każdą Niedzielę.

Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. — Reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Pochwalony Jezus Chrystus!

Ogłoszenia po halerzu od wiersza petitowego w jednej szpalcie.

Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „OBRONY LUDU“ KRAKÓW ul. Pijarska 13.

Kosztuje: W Galicyi i całych Austro-Węgrzech rocznie 4 korony (2 złr.), do cesarstwa niemieckiego 4 marki, do Ameryki 2 dolary, do Rumunii, Danii, Anglii i innych państw europejskich 5 koron. — Numer pojedynczy 10 halerzy (5 centów).

Należytość płaci się z góry rocznie lub półrocznie.

Traktaty.

Ze względów politycznych Austrya musi obecnie zawrzeć handlowe traktaty ze Serbią i Rumunją. Taki traktat, czyli umowa, daje każdemu państwu możność zbytu swych produktów, czy to rolnych czy przemysłowych u sąsiada, za przewóz bowiem przez granicę płaci się cło, otóż właśnie od wysokości lub zniżenia tego cła zależy, czy procudent jest w stanie wytrzymać konkurencyę.

I Serbja i Rumunja nie posiadają większego przemysłu, nie mając fabryk, a jedynemi produktami jakieby mogły wywozić od siebie są płody ziemne i bydło. Dla tego szczególnie bydła i świń żądają te państwa otwarcia granicy, aby sobie w Austryi utworzyć rynek zbytu. Austrya z drugiej strony nie może otworzyć zupełnie granicy, bo takie całkowite otwarcie, byłoby klęską dla tutejszych rolników, musi zatem zawrzeć traktat, czyli umowę, mocą której pewna ilość bitego już bydła i świń może przy zniżonym cle wejść w jej granice. Towar żywy jest zupełnie wykluczony.

Oczywiście traktat taki musi bądź co bądź wpłynąć ujemnie na finansowe stosunki naszych rolników, w pierwszym rzędzie zaszkodzi większym posiadłościom, ale i włościanom, zwłaszcza w Galicyi, da się we znaki. Wobec drożyzny paszy u nas, a taniości tej samej paszy na Bałkanach, oba te państwa mogą dać bity towar znacznie taniej, co oczywiście musi u nas spowodować zniżkę cen, którą uczują hodowcy. Dla wsi zatem traktat ten będzie niekorzystny pod względem pieniężnym, ale i dla wsi a szczególnie dla miast i powiatów więcej przemysłowych przyniesie korzyść w zniżce cen mięsa. W ten sposób całe powiaty, w których klasa robotnicza, rekrutująca się z naszego ludu, przeważa, nic nie tracą, a zyskują na taniości. Inna rzecz z powiatami więcej rolnemi.

Dla tych powiatów powinni nasi posłowie z Galicyi postarać się o powiększenie funduszu meljoracyjnego, o fundusz na podniesienie chowu bydła i nierogacizny, a co najważniejsze o zniżenie taryf kolejowych dla produktów rolnych w Galicyi. Tym sposobem może taki traktat przynieść dla kraju ogólnie korzyść choć szkodzi na razie niektórym warstwom społeczeństwa, a i te ujemne strony da się zmniejszyć, a nawet na korzyść ogólną obrócić.

Stach Jendl.

Sprawy ludowe.

Tartak parowy Arc. Stefana w Makowie. Zarząd dóbr Arcyks. Stefana postawił tartak parowy w Makowie, aby dać miejscowej ludności zarobek, a jakże! Przełożonym tutejszego obszaru jest Niemiec p. Rewer, umiejący dosyć dobrze po polsku i udający dobrego obywatela; ba — on by nawet śpiewał: Jeszcze Polska nie zginęła, byleby przytem mógł drzeć polski lud ze skóry i zbogacać się jak najprędzej.

W tym tartaku zarobek dla ludu jest taki, jak bardzo zła i gorzka potrawa przed zgłodniałym człowiekiem. Weźmie raz, dwa na łyżkę i już nie może jeść dalej. Gdy tu komisarz z namiestnictwa pytał się, jaką zapłatę ludzie biorą, p. Rewer powiada: Ależ panie! Makowianie ani po 5 koron dziennie niechcą robić, to przecie obecny przy tem burmistrz Kosman zaprotestował, że robiliby chętnie po 2 korony, ale i tego nie dostają. P. Rewer robił ciężkie wyrzuty inżynierowi od regulacyi, że psuje ludzi, bo o 10 centów lepiej płaci.

I tak się tu robi. Namawiają n. p. parobka Plutę, aby szedł do tartaku robić. On mówi, że niema książki roboczej. Dają mu 15 ct. aby szedł do gminy i książkę wziął. Więc Pluta robi pierwsze dnie po 60 ct., następne po 70 ct. i doszedłby do 80 ct. dziennie, ale mu dają robotę na akord, robić wiązki drzewa drutem do wysyłki w świat, 4 wiązki za 5 ct. Przy tem pilny człowiek zarobi od 30 do 50 ct. dziennie i porani sobie ręce drutem. Więc Pluta porzucił robotę. Teraz mu niechcą wydać książki, aby koniecznie przerobił 14 dni. On chce przerobić, ale żeby miał przynajmniej 80 ct. dziennie. A soj gaijen die wronen in die klotkes. Inny Makowiak porzucił robotę, bo chciał mieć 2 korony dziennie. Przyszedł po niego do domu żandarm i zaprowadził go do p. Rewera, który mu powiada, aby odrobił swoje 14 dni. Ten mówi, że odrobi, ale po 2 kor., inaczej nie i otwarcie żąda wydania książki. P. Rewer wydał mu książkę, mówiąc, że to robi dla tego, bo jest dobry. Gdyby niechciał, toby nie wydał.

Taka to bieda, gdy niema żadnej organizacyi ludu. Ciekawość, czy sobie życzy Arcks. Stefan, aby w jego fabryce była podlejsza płaca niż u żydów, gdyż gdy tu 70—80 ct. płacą, to w żydowskich tartakach płacą 2 kor. i 2 kor. 40 hal. Z tego się odciąga $2^1/_2$ hal. od korony na Kasę chorych. Poco stawiali tartak, jeżeli czuli, że ten nie potrafi wyżywić swoich pracowników?

Dziwna to przyjemność być takim panem pracodawcą, nie, oni się nazywają chlebodawcy, bo istotnie dają tylko chleb czarny, jałowy i to bardzo skąpo; więc dziwna to przyjemność być takim panem dobrodziejem szanownym, o którego zapytaj jednego z jego podwładnych, to usłyszysz: A niech go i ślak trafi! a niech go wszystkie ogniste pioruny na raz zatrzasną! i t. d.

A to jest u nas w Galicyi pospolite przy wszystkich robotach publicznych, regulacyach i t. p. podjętych, aby dać zarobek ubogiej miejscowej ludności, to jest zwykłe aby miejscowym robotnikom jak najmniej płacić, tak, aby wytrzymać niemogli. To jest u nas normą

wszystkich przedsię... czy tam podsiębiorców. Dopiero, gdy miejscowi niechcą robić wcale, wtenczas się sprowadza zamiejscowych ludzi i płaci się im trochę lepiej! Tak samo i tu w Makowie.

Cesarska służba. Ileż to naszych młodych ludzi marnie ginie po takich manewrach albo i ćwiczeniach wojskowych. Niedawno zdrowy i silny młodzieniec, wnet ledwie się przywlecze od wojska do wsi, bardzo chory, lega, aby nie wstać więcej bez żadnego ratunku i odszkodowania.

W Makowskim okręgu naliczyóby można kilka takich wypadków. Pochodzi to ztąd, że nasz lud (a i naród) jest bardzo grzeczny i usłużny, ale względem obcych. Taki parobek chce wypełnić wszystkie, choćby najgorsze rozkazy takiego kaprala, czy oficera, i to jeszcze lepiej, niż sam chciał ten oficer; więc goni sił ostatkiem do zdechu, aż się zatraci tam, gdzie nie głupi Morawiec, lub Niemiec umie się „dekować" dobrze i wyśpi się za krzakiem. My jesteśmy bardzo grzecznym narodem, ale tylko względem obcych.

Chłop ze wsi.

Kilka słów do ludu.

Nasz lud, ten chłop siermiężny, to moc i korzeń narodu, z którego całe życie narodowe czerpie nietylko swój byt materyalny, — boć ten chłop dostarcza nam chleba, mleka, jaj, masła, mięsa, kaszy i t. d. i t. d, ale i swój byt moralny, swoje duchowe pożywienie. Gdzież bowiem jeżeli nie u tego chłopa szukać prostoty, czystości mowy, starych odwiecznych zwyczajów, wytrwałości i samej przez się nieskazitelnie u niego zachowanej w sercu Polski. Toteż tem większy lęk ogarnia człowieka, gdy widzi, że to żywe źródło, że ten święty zdrój poczyna wysychać, poczyna się mącić i miast kryształowych fal, srebrem dzwoniących niesie mętną i leniwie płynącą wodę. A jednak, — uderzmy się w piersi, — tak jest. Winno temu po trosze wojsko, w czasie którego łamie się i kazi czystość języka, winien, brak zarobku u nas i konieczność szukania go u obcych, winna szkoła i nasz system rządowy, ale —wielka i może najcięższa wina leży w samym chłopie, który przy odrobinie dobrej, a mocnej woli potrafiłby te wszystkie rafy, i mielizny ominąć i wyjść czysty w swojej prostocie polskości.

My polacy, — znani jesteśmy z tego między obcemi, że umiemy i chcemy pracować, że jest w nas krzepkość dłoni i spryt i zdolności, że każdy z nas potrafi, gdy chce oczywiście, pracować za dwóch i być za dwóch wydatnym w robocie. — Ale — brak nam poczucia obowiązku, nietylko w punktualności i rzetelności samej pracy, ale nawet w tym najświętszym obowiązku jaki na nas nakłada patryotyzm i brak politycznego bytu. A łamiemy go każąc język i psując go tak chętnie u nas przyjmowanemi obcemi wyrazami, łamiemy zarzuceniem naszego narodowego, ślicznego, a od dziadów wziętego stroju, łamiemy brakiem ukochania tego co nasze, co wielkie w przeszłości, co wróżyć może świętą, — wielką przyszłość.

A my tymczasem bierzemy od obcych nie to, co nam dać dobrego mogą i cośmy sobie przyswajać koniecznie powinni, bo nam tego brak, to jest oszczędność, trzeźwość, gospodarność i przemysłowość, nie ich zamiłowanie do wszystkiego, co swojskie, miłe i blizkie, tylko chwytamy pozę wyrazów z ich gwary, przejmujemy się ich wadami, a nie przymiotami, przyjmujemy ich strój i czerpiemy chojnie wszystko, co cywilizacya złego przynosi a nie chcemy widzieć jej dobrych, jej słodkich owoców.

Przedewszystkiem za mało pamiętamy o tem, o czem winniśmy najwięcej pamiętać, to jest o tem żeśmy polakami, że dziś po utracie bytu politycznego naszą ojczyzną jest ziemia, mowa i strój narodowy. Za mało wiemy o samych sobie i nie pragniemy zdobywać tych wiadomości, czy to w dziedzinie historyi ojczystej czy w dziedzinie bytu społecznego, nie szanujemy takiego skarbu jakim jest nasz język, przepiękny, przebogaty, którymby się szczycić należało, a robimy z niego dobrowolnie dziwoląga, plamimy go niemieckiemi, czeskiemi i czort wie jakiemi wyrazami, przekręcamy jego śliczne a czyste brzmienie, — bo niestety! — wydaje nam się, że tak „ładniej" będzie.

A nasz śliczny, kochany strój wieśniaczy! — Kilka tygodni temu pisałem Wam kochani Czytelnicy o tej sprawie, a dziś podkreślam ją raz jeszcze, nie bierzcie tandety żydowsko-niemieckiej, nic nie wartej, kusej i niesmacznej a wróćcie do siermięg i poczciwych płótnianek, które są nie tylko śliczne, nie tylko strojne i trwałe, ale przedewszystkiem nasze. Nie namawiam was do konserwatyzmu, ale jest zdrowy konserwatyzm tego co konieczne, bo iść naprzód należy oświatą, myślą, czynem, walką z tem co wrogie, a zachować to co nasze, co piękne, co święte. Wszak krakowiak wszystkiem znany mówi że:

„Jeden Bóg na ziemi
i jedna Matka Boska",

ale też jak ta Matka Boska niezmienna jest i nie przeszkadza ani rozwojowi naszego życia umysłowego narodowego, tak nie będzie przeszkadzać nasz strój, a pomagać czystość języka który jest skarbem dla nas, bezwarunkowo największym.

Hej! gdybym ja miał moc i siłę, gdy-

Krzyżacka mać.

Opowiadanie historyczne podług powieści Sienkiewicza p. t. Krzyżacy.

(Ciąg dalszy).

Ale w zaspach nie znaleziono nic. W olszniaku błysnęły im tylko kilkakrotnie świeczci wilcze, nigdzie jednak nie trafili na ślady ludzi i koni. Łąka między olszniakiem a gościńcem lśniła się teraz w blasku księżyca i na białej, smutnej jej powierzchni widać było wprawdzie zdala tu i owdzie kilka ciemniejszych plam, ale były to także wilki, które za zbliżeniem się ludzi poczynały szybko umykać.

— Waszą miłość! — rzekł wreszcie Czech: — próżno tu jeździm i szukamy, bo panny ze Spychowa nie było w orszaku.

— Na gościniec! — odpowiedział Zbyszko.

— Nie znajdziem i na gościńcu. Patrzałem ja dobrze, czy na których saniach nie było jakowych łubów, a w nich białogłowskich przyodziewków. Nie było nic. Panna ostała w Spychowie.

Zbyszka uderzyła trafność tej uwagi, więc odrzekł:

— Daj Bóg, aby tak było, jako mówisz.

A Czech poszedł jeszcze głębiej po rozum do głowy:

— Gdyby była gdzie w saniach, starszy pan nie byłby od niej odjechał, albo odjeżdżając, wziąłby ją przed siebie na koń i bylibyśmy ją przy nim znaleźli.

— Jedźmy tam jeszcze raz — rzekł Zbyszko zaniepokojonym głosem.

Na myśl bowiem przyszło mu, że może i było tak, jak mówił Czech. Nuż nie szukali dość starannie! Nuż Jurand wziął przed siebie na konia Danusię, a potem, gdy koń, padł, Danusia odeszła od ojca, chcąc znaleźć dla niego jakowąś pomoc. W takim razie mogła znajdować się gdzie pod śniegiem w pobliżu.

Ale Głowacz jakby odgadłszy te myśli, powtórzył:

— W takim razie znalazłby się na saniach przyodziewek, boć nie jechałaby na dwór jeno w tych szatach, które na sobie miała.

Mimo tej słusznej uwagi, pojechali jednakże pod wierzbę — ale ni pod nią, ni na staje wokoło nie znaleźli nic.

Zbyszko zwróciwszy się do Czecha, rzekł:

— Juści mi go żal, i głośno to przyświadczam.

— Ludzie mówili, że Niemcy bały się go jak śmierci — odrzekł giermek.

Po chwili zaś zapytał:

— Wrócim teraz do zamku?

— Przez Niedzborz — odpowiedział Zbyszko.

Mieli jeszcze z Niedzborza do Ciechanowa szmat drogi, i Zbyszka paliło, jak ogniem, by co prędzej zobaczyć Juranda i czegoś się od niego dowiedzieć.

— Jechali więc jak mogli śpiesznie po zawianym gościńcu. Gdy przyjechali, było już po północy, i pasterka kończyła się właśnie w zamkowej kaplicy. Do uszu Zbyszka doszedł ryk wołów i beczenie kóz, które to głosy udawali wedle starego zwyczaju pobożni, na pamiątkę tego, że Pan urodził się w stajence. Po mszy przyszła do Zbyszka księżna z twarzą stroskaną, pełną przestrachu, i poczęła wypytywać:

— A Danuśka?

bym miał słowo to święte, wielkie słowo, co tłumy porywa i wiedzie do wielkiej zorzy odrodzenia tobym tej mocy i tego słowa użył, aby Was Serdeczni moi natchnąć umiłowaniem języka i przybranych w białe siermięgi powiódł do lepszej, — do należnej nam doli! A wiódłbym Was czystych jako nasi ojce pod Piastową strzechą bywali, a wiódłbym Was miodem pszczelnym pojonych, lnem błękitnym przybranych, jabłoni i śliw naszych słodyczą karmionych, a szumem lasów, i dzwonieniem kłosów skrzydlatych na nową dolę, na świty. Jenom jest maluczki i marny, a nie dał mi Bóg mocy słowa, tedy Was prosić jeno mogę: Pamiętajcie Bracia — żeście Polakami.

St. Jendl.

Krzywdy i nadużycia.

Nosił wilk, i ponieśli wilka. Dotychczas zawsze policya była do tego uprawniona aby aresztować drugich, ale dziś wszystko idzie na opak i w Nowym Targu stała się rzecz przeciwna policyjnej naturze, bo sama policya została zaaresztowana. O fakcie tym donoszą dzienniki: W handlu śniadańkowym p. Giżyckiego zgromadziło się kilku oficerów, którzy zabawiali się dość głośno i wesoło. Drzwi do lokalu przytem zamknięto, aby nie wpuszczać żadnych obcych przybyszów. Późno wieczorem inspektor policyi p. Podkanowicz wraz z policyantami, stróżami nocnymi, dostali się do wnętrza lokalu i domagali się, aby oficerowie śpiewać zaprzestali. Początkowo traktowano tą scenę nie zbyt poważnie, skoro jednak policya wystąpiła energiczniej, zażądał jeden z oficerów przywołania patrolujących żołnierzy, którzy za swojem przybyciem obstąpili zaraz stróżów bezpieczeństwa, aresztowali ich i odstawili pod bagnetem do aresztów policyjnych. Potem otoczyli żołnierze magistrat i do wczesnego świtu nikogo ze środka nie wypuszczali. Zajście to spotkało się z oburzeniem członków rady miejskiej.

Jestto nadużycie wojskowości i czasby już był najwyższy, aby wojsko zrównać z „cywilami" co do odpowiedzialności sądowej, to jest, by w podobnych wypadkach sprawa była rozstrzygana przed sądowym trybunałem tak jakby się to z pewnością stało, gdyby excendentami nie byli „obrońcy ojczyzny".

Hakata w szkole. W lwowskiej szkole ewangelickiej zdarzył się ostatniemi czasy fakt, wręcz niepodobny do wiary, niestety, jednak aż nadto stwierdzony, aby można przejść nad nim do porządku dziennego. A jest on tak oburzający, tak w swej dzikiej brutalności niesłychany, tak bezczelnie zuchwały, poprostu brak słów na odpowiednie jego napiętnowanie. Bezwstydnym bohaterem tej smutnej historyi jest nauczyciel szkoły ewangielickiej we Lwowie, Kühner, znany „działacz" wśród galicyjskiej „uciśnionej niemczyzny", jeden z twórców i przewódców „Bundu der christlichen Deutschen in Galizien". Panek ten „von Draussen", żyjący, jak grzyb jadowity, na naszej ziemi i tuczący się polskim chlebem, ośmielił się w objawach swej dzikiej, teutońskiej nienawiści do wszystkiego, co polskie, posunąć tak daleko, że publicznie w szkole wypoliczkował polskie dziecko, ucznia celującego, T. F., synka nauczycielki jednej z tutejszych szkół miejskich jedynie za to, że dziecko poważyło się przemówić w szkole kilka słów po polsku. Brutalny ten „Kulturtrager" urzęduje w dalszym ciągu i do tej pory nie uczyniono nic, aby krzywdę, nietylko dziecku, ale polskości, przez niego wyrządzoną, naprawić, aby na przyszłość podobnym zajściom zapobiedz.

Szkoła oprawców.

Znowu nastał czas młodych kawek, znowu szkolne dzieczi włóczą się i mordują te biedne stworzenia, a nauczyciele patrzą na to obojętnie.

Już Obrona L. pisała, że kawki są bardzo pożyteczne ptaki. W maju gdy wiele chrząszczy, kawki robią dalsze wycieczki a gdzie na drzewach siędą, tam pada masa chrząszczy na ziemię z roztarganym tułowiem. Kawka chrząszcza nie je, bo może nie mogłaby go nawet połknąć, tylko coś z jego wnętrza wyjada i to tak wygląda, że tępi chrząszcze dla samego tępienia.

Ale jakże brać dzieciom za złe mordowanie ptaków, gdy te widzą panów inteligientów, jak chodzą ze sztucami Flobertu i strzelają ptaszki, ciesząc się, że umieją trafić i ani nie zbierają zabitych. To strach, dla samej przyjemności trafienia, odbierać ptakowi życie i to jak szczęśliwe życie. Ma świat śliczny, wesoły, ma ubranie i mieszkanie i pożywienia podostatkiem. Nie trapi go zła żona ani złe dzieci, ani nieurodzaj, ani podatki. I takie rajskie życie odbierać ładnemu i pożytecznemu stworzeniu, bez żadnej przyczyny i pożytku, to zbrodnia i będzie kiedyś ciężko karaną, gdy ludzie zrzucą z siebie resztę skóry drapieżników i staną się ludźmi. A takiego cudu przez to spodziewać się można, że już się trafiają ludzie, którzy istotnie mają prawo nazywać się ludźmi stworzonemi na obraz i podobieństwo boskie.

Chłop ze wsi.

— Niemasz jej. Zali Jurand nie przemówił, bo jako słyszałem, żyje?

— Jezusie miłosierny!... Kara to Boska i gorze nam! Nie przemówił Jurand i leży jak drewno.

I poszli do Juranda. W izbie gorąco było jak w łaźni i widno zupełnie, gdyż na kominie paliły się ogromne kłody sosnowe. Ksiądz Wyszoniek czuwał nad chorym, który leżał na łożu pod niedźwiedziemi skórami, z twarzą bladą, z polepionymi od potu włosami i z zamkniętemi oczyma.

— Jako-że jest? — spytała księżna.

— Wlałem mu dzbaniec granego wina w gębę, — odrzekł ksiądz Wyszoniek — i poty na niego przyszły.

— Spi, czy nie śpi?

— Może i nie śpi, bo bokami okrutnie robi.

— A próbowaliście do niego gadać.

— Próbowałem, ale nie odpowiada nic, i tak myślę, że przed świtaniem nie przebudzi się.

— Będziem czekać świtania — rzekła księżna.

Ale głos ów rozbudził Juranda, który otworzył oczy, siadł nagle na łożu i jął rozglądać się wokół, mrugając przytem oczyma.

— Pochwalony Jezus Chrystus!... Jakoże wam? — rzekła księżna.

Lecz on widocznie nie oprzytomniał jeszcze, gdyż patrzał na nią, jakby jej nie poznawał, i po chwili zawołał:

— Bywaj! bywaj! rozkopać zaspę!

— W imię Boże: jużeście w Ciechanowie! — ozwała się znów pani.

Jurand zaś zmarszczył czoło, jak człowiek, który z trudem zbiera myśli i odrzekł:

W Ciechanowie?... Dziecko czeka i... i... księstwo... Danuśka! Danuśka!

I nagle, zamknąwszy oczy, upadł z nów na wezgłowie. Zbyszko i księżna zlękli się czy nie umarł, lecz w tej samej chwili piersi jego poczęły się poruszać głębokim oddechem, jak u człowieka, którego pochwycił twardy sen.

Ojciec Wyszoniek przyłożył palec do ust i dał znak ręką, by go nie budzić, poczem szepnął:

— Może tak prześpi cały dzień.

— Tak, ale co on mówił? — zapytała księżna.

— Mówił, że dziecko czeka w Ciechanowie — odpowiedział Zbyszko.

— Bo się nie opamiętał — objaśnił ksiądz.

III.

Ojciec Wyszoniek obawiał się nawet, czy i po powtórnem rozbudzeniu nie chwyci Juranda dur i nie odejmie mu na długo przytomności. Tymczasem obiecał księżnie i Zbyszkowi, że im da znać, gdy stary rycerz przemówi, a po ich odejściu sam udał się na spoczynek. Jakoż Jurand rozbudził się dopiero w drugie święto przed samem południem, ale za to zupełnie przytomny. Księżna i Zbyszko byli przytem obecni, więc on, siadłszy na łożu, spojrzał na nią, poznał i rzekł:

— Miłościwa pani... Dla Boga, tom ja w Ciechanowie?

C. d. n.

Dwie kobiety.

Wpadł do mnie jak burza i nim miałem czas poznać kto to, pochwycił mnie za szyję i począł ściskać a całować. Nareszcie gdym mu się napół zduszony wyrwał z rąk zobaczyłem przed sobą rozradowaną twarz starego szkolnego jeszcze druha, z którym się tyle lat na jednej twardej ławie przesiedziało, w jednej szkolnej kozie siadywało, w jednych pannach kochało, z którym miało się wspólną kasę, buty i krawaty, wspólne ideały, marzenia i zamiary na przyszłość! — Jednym słowem zobaczyłem ogorzałą poczciwą twarz Antka. Poznałem go natychmiast, bom go rok temu, choć krótko, bo tylko na ulicy widział, a przez rok ludzie nie zmieniają się zwykle zanadto.

Uściskaliśmy się jeszcze raz.

— Czemże ja cię chłopie przyjmę? herbaty chcesz? piwa? papierosa? proszę cię, czem chata bogata!

— Nic nie chcę! tylko ciebie! masz rowera? doskonale, siadaj i jedziemy zaraz, natychmiast! tylko prędko.

— Dokąd waryacie? przecież nie mogę skoczyć na rower i jechać jak szaleniec, bo tu mam zajęcie, interesa.....

— Nic mi do twoich zajęć i interesów! siadaj i jedz do mnie! niedaleko, na wieczór sobie wrócisz, albo na jutro rano.

— Albo za trzy dni, albo za tydzień! zacząłem się przekomarzać widząc jego gorączkę.

— Choćby za rok! ale teraz nie marudź proszę cię i jedz, — ziemia mi się pod nogami pali.

— Nie tylko ziemia, ale i głowa! ale czemu? co się stało? dokąd mam jechać? powiedzże mi — co to wszystko znaczy...

— Do mnie pojedziesz! wszystko ci w domu powiem, tylko na Boga! jedzmy już!

Nie było rady! — Musiałem sprowadzić na dół rowera i jechać. Za chwilę miasto zostało za nami, a dokoła objął nas czar czerwcowego poranku. Z jednej i drugiej strony zielone morze łanów, środkiem złota wstęga drogi, po której rowery mknęły cicho i lekko, a nad tem ogromny błękitny dzwon nieba. Jeno już znojna, letnia cisza legła na polach i ptastwo jakby wymarło, tak cicho było w powietrzu, na ziemi, na falach młodych zbórz. Antek pociskał pedały jak na wyścigach i gnaliśmy bez wytchnienia w tej ciszy, zieleni, błękicie i słonku, niby w jakiejś bezmiernej, wydrążonej kuli zamknięci. Nareszcie mój towarzysz po trzech mniej więcej kwandransach takiej jazdy skręcił na boczną drożynę i przed białym, malwami i powojem ocienionym domem zeskoczył z roweru. Z pewnym zadowoleniem zrobiłem to samo. Wtoczyliśmy rowery do ogródka, a potem gospodarz wprowadził mnie do chaty. Biało tu było, swojsko, tak jakoś jasno zacisznie a po naszemu.

— To mój dom, — mówił Antek miękko, oglądając się po ścianach. Jednego gwoździa tu nie masz obcego, wszystko nasze, ziemia swojska, wapno nasze, i ot kilimy domowego wyrobu. Nic obcego, nic żydowsko-niemieckiego, bo to mój dom, a niedługo n a s z dom.

— Żenisz się? spytałem uderzony słowem „nasz".

— Tak! — a to moja w przyszłości niewiasta! mówił pokazując w drewnianych, ręcznie rzeźbionych ramkach kobiecą fotografię. Z ramek popatrzyły na mnie dobre, ciche oczy, jakby dostrojone wyrazem do całego tego domu i jego wyszukanej prostoty.

— Antek tymczasem siadł na krześle i podając mi papierosa zaczął mówić:

— Umyślnie porwałem cię gwałtem tutaj, aby ci po dawnemu, jak niegdyś przed laty, opowiedzieć wszystko swobodnie. Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie zeszłego roku? Byłem wtedy chory na duszy, chory na sercu, chory na umyśle. Widzisz rok tylko różnicy, a jam dziś całkiem inny. Kobieta była moją chorobą, kobieta dziś jest lekarstwem.

Nalał obie szklanki piwem i pociągnąszy papierosa mówił dalej:

— Widzisz było tak. Spotkałem zgniłą duszę, taką nie do uratowania już, bo w niej ani kochania, ani czystych pragnień nie było prócz samolubstwa i chęci użycia. Spotkałem i zacząłem ją stroić w śnieżne szaty, u ramion skrzydła anielskie przypinać, a głowę wieńczyć tęczą i gwiazdami. — Ano trudno! nie zrobiłem z niej anioła a sam duszę zbrukałem, zabiłem myśl, odarłem się ze zbieranych w drodze duszy skarbów ot! i zostało mi po niej — to!

Wstał i szerokim ruchem rozgarnąwszy koszulę pokazał mi pod lewą piersią małą, krągłą, rożowaną bliznę.

— Jak byłem chory na duszy rozumiesz teraz; — ciągnął po chwili dalej, kiedy aż do tego doszło. Ale się na tem nie skończyło. Do dusznej choroby przyłączyła się niemoc ciała, a w niej długie, długie godziny myśli i rozpamiętywania. Wyszedłem na świat apetyczny, złamany duchem, choć ciało do zdrowia wróciło i — spotkałem drugą kobietę. Czysta jest, prosta i o sobie na końcu dopiero myśląca. Powoli lać mi jęła w duszę balsamy wiary, pociechy, nadziei, aż rozdmuchała w sercu kochanie, a w duszy wolę i wstręt do wspomnień nawet przeszłości.

Wstał i wyprostował się dumnie.

— Dobrze mi jest teraz i szeroko na świecie. Myśl mam znowu mocarną i skrzydlatą i chęć a umiłowanie pracy i siłę, a w duszy anielstwo jakieś kochania i szczęścia.

Patrzyłem ze zdumieniem na tego tak mi znanego, a jednak tak niepojętego dziś człowieka. Jakto? przez rok dźwignąć się z upadku, rozróść, nabrać sił i stanąć mocno a pewnie na nogach? jak to może być?

— I co wpłynęło na ciebie, co ci dało tę moc i to anielstwo? — spytałem nie ochłonąwszy jeszcze.

A on stanął bokiem do okna otwartego i popatrzył mi w oczy. Jedną ręką wskazał na szerokie pola, drugą na fotografię na stoliku:

— Kto mi dał? — Te dwie: Ziemia i moja dziewczyna, — obie proste, a kochające i kochania godne.

Za oknem brzęczały pszczoły i słonko się śmiało, a cicho było i ślicznie jakby nad światem jeno ta wielka, prawa a czysta miłość panowała.

Stach Jendl.

„Małpia miłość".

Jednym z najpiękniejszych objawów w ludzkiej naturze, jest wszczepiona w nasze dusze i serca miłość dla dzieci. Dlatego nas też takim oburzeniem napełnia każda krzywda wyrządzona tym maleństwom, każdy ból zadany tym wiośnianym ciałkom, lub z pączka jeszcze nierozkwitłym duszkom. Ale kto wie, czy nie równie oburzającym, jakkolwiek mało kto zwraca na to pilniejszą uwagę, dla rozsądnego człowieka, jest zbytnie rozpieszczenie dzieci i robienie z nich dziwolągów, które później w życiu do bardzo smutnych wyników dochodzą. Tej przesadnej miłości nazwanej „małpią miłością" należy jak najstaranniej unikać, bo może wprost straszne wyniki przynieść.

Miłość i pieszczota jest dziecku tak potrzebna jak dla kwiatu słońce i rosa; miłość macierzy i wspomnienie jej w późniejszym twardym boju życiowym jest często zbroją chroniącą przed występkiem, podłością i błotem poniewierki, ale ta miłość im jest większa, tem więcej potrzebuje hamulca rozumu i zdrowego, a patrzącego w przyszłość rozsądku.

Dziecko to nie lalka, którą się bawić tylko można, bo to cały maleńki, ale w sobie zamknięty światek, to przyszłość rodziny, nadzieja narodu, przyszły bojownik ziemi i społeczeństwa. Hartować w nim należy duszę i ciało zwolna, łagodnie, bez przesady w surowości, ale i bez przesady w ślepej „małpiej" miłości, bo za to dziecko odpowiada się nie tylko przed Bogiem i własnym sumieniem, ale i przed narodem i Ojczyzną.

Tymczasem — miły Boże! czego się to człowiek nie napatrzy nieraz! Ojciec lub matka sami dają dzieciakowi, ledwie od ziemi odrosłemu wódkę „aby znał co dobre", cieszą się i uważają za dowód rozumu jeżeli dziecko wyciąga drobne rączyny i napiera się tej trucizny. Boć to dla organizmu i rozwoju umysłowego dziecka jest trucizna, pod wpływem której, jeżeli się uchowa, to wyrasta tuman i niedołęga. Jeżeli spieszczony bachor odpowie rodzicom gburowato, lub krnąbrnie, to ci czasami miast go należycie skarcić, cieszą się jego „mądrością" i — wypaczają coraz bardziej tę już widocznie spaczoną duszkę, którąby jeszcze doskonale dało się naprawić. Bo dzieciak widząc, że za taką sprawkę miast dostać spokojną, ale zasłużoną karę, dostaje pieszczotę i pochwałę, brnie dalej w tej swojej „mądrości", która mu potem wielu, bardzo wielu kłopotów przyczynia. — A winni są tacy rodzice podwójnie, bo nie tylko przez bezsęsowną i karygodną pobłaźliwość, ale i przez to, że sami są prawie zawsze przyczyną do tego smutnego stanu, gdy w sprzeczkach między sobą zamieniają cały szereg nader nieprzyzwoitych wyzwisk, przekleństw i wyrazów, a to wszystko w obecności dzieci, które przez to nietylko uczą się łatwo tych wszystkich obrzydliwości, ale i tracą należny szacunek dla rodziców i ich powagi.

Czasami bywa jeszcze inaczej: w chwili dobrego humoru wybacza się dziecku wszystko i miast kary daje mu się pocałunki i pieszczoty, ale niechno ojciec lub matka są źle usposobieni, — echo! za byle co dzieciak dostaje cięgi, albo też

spada na niego, najniewinniej nawet, kara i taki bachor nie może sobie potem inaczej skąbinować w małej główinie, jeno, że ojciec lub matka biją, bo się „ozeźlili" ale nie dla tego, aby on coś był winien i uważa to słusznie za krzywdę.

Nierozsądny ojciec, lub częściej jeszcze matka zadowoleni są już bez miary jeżeli dziecko powierzchownie grzeczne, to znaczy podziękuje za cukierek, powie „paa", ale w istocie jest krnąbrne, zuchwałe, nieposłuszne. Oni nazywają to „mądrością" „morowością" i Bóg nie wie jeszcze czem, a dzieciak źle wychowany idzie potem w życie i albo, jeżeli w nim tacy rodzice nie zabili dobrych instynktów, zmienia się ciężkim bólem i przejściami płacąc za tę zmianę i gorzko nieraz płacząc na nierozsądek swego ojca lub matki, albo zostaje złym, krnąbrnym i „morowym" a te wady rosnąc w nim razem i z latami doprowadzają go czasem, nawet do kryminału, a zawsze do pogardy ludzkiej i goryczy życiowej.

„Małpią miłością" kochający swe dzieci rodzice zaszczepiają w nie samolubstwo i oschłość serca, a z takich nasion nic prócz kąkolu i chwastów nie wyrośnie. A na tym narodowym zagonie naszych dusz jest jeszcze tyle chwastów do wyplewienia, że nowych już siać się nam nie godzi.

Kochajcie dzieci i dajcie im na drogę życiową wiatyk wspomnienia słodkiej, ale rozumnej macierzyńskiej pieszczoty, kochajcie je, bo to kwiaty waszego życia, ale baczcie, że z tych kwiatów mają być kiedyś owoce, niechajże te owoce nie będą cierpkie ni gorzkie, a takiemi może je zrobić łatwo „małpia miłość" nierozważnych rodziców.

Stach Jendl.

Ostatnie wiadomości ze świata.

Rosya. W Kiszynjewie przyszło do rozruchów antiżydowskich i do pogromu żydów. Wiele sklepów zostało zrabowanych liczni izraelici uciekli z Kiszynjewa.

Angielski okręt handlowy „Woodburn" został przez flotę rosyjską uszkodzony. Mianowicie zbliżył on się do okrętów wojennych, towarzyszących cesarskiemu jachtowi. W obawie przed zamachem, wyjechał naprzeciw torpedowiec i rozkazał mu kurs zmienić i opuścić sąsiedztwo eskadry Gdy „Woodburn" mimo zakazu płynął dalej ku statkowi cesarskiemu dał torpedowiec 3 ślepe strzały, a gdy te nie poskutkowały, j e d e n s t r z a ł o s t r y. Drugi torpedowiec znajdujący się również w pobliżu dał podobno jeden ślepy i jeden ostry strzał. Kapitan angielskiego parowca podał, że przewodnik, który od chwili objęcia kierownictwa jest bezwarunkowym panem statku, chciał tylko przeciąć linję koła ochronnego, w czem go kapitan usłuchać musiał. Stwierdzono uszkodzenie komina na parowcu i zraniono jednego palacza. Przewodnika aresztowano.

Turcya. Jak słychać sułtan w jesieni ma zamiar złożyć wizytę dworom europejskim. Do Anglii ma przybyć z początkiem grudnia.

Rząd turecki pozostawił byłego sułtana Abdul Hamida nadal w Salonice. Z tego powodu dowódca III korpusu armii otrzymał polecenie podjąć rokowania o kupno willi Allatini na własność rządu.

Podobno w obozie młodo-turków powstały niesnaski, które mogą spowodować zmianę wielkiego wezyra.

Francya. Podczas wyścigów w Auteuil przyszło do demonstracyi publiczności, która podpaliła kilka domków totaliratorowych. Napadano głównie oficerów; wiele osób aresztowano.

Serbia. Podobno ks. Jerzy otrzymał listy anonimowe donoszące mu, że istnieje spisek mający na celu jego zamordowanie. Kto mieczem wojuje ten od miecza ginie.

Rada gabinetowa pragnie jak najszybciej przeprowadzić rokowania o traktat handlowy z Austro-Węgrami.

Anglia. Z powodu różnic religijnych przyszło do ostrych starć między irlandzkiemi katolikami i protestantami przy czem kilka domów w Liverpoolu podpalono lub zdemolowano. — 50 osób aresztowano; znaczna liczba policyantów jest ranna.

KRONIKA.

W Krakowie odbyło się zgromadzenie młodzieży uniwersyteckiej w sprawie sprowadzenia zwłok Słowackiego. Po zgromadzeniu zbyt gorliwa policya napadła studentów brutalnie, tak że wielu młodych chłopców jest rannych i potłuczonych. Sprawa oparła się o parlament. Widocznie system rosyjskiej masakry przyjął się na grządce policyi krakowskiej.

Pomysłowa oszustka. Przed paru dniami przyszła do kościoła św. Michała Franciszka Stein, nieszpetnia 20-letnia dziewczyna i obecnego w zakrystyi księdza poprosiła, by jak najprędzej poszedł do umierającego pana, wskazując przytem ulicę i Nr. domu. Ksiądz oświadczył, że pójdzie zaraz i polecił zakrystyanowi przygotować wszystko, co w takich razach jest potrzebnem. Nagle przystępuje dziewczyna do księdza ubierającego się w komżę i powiada, że w pośpiechu zapomniała sobie wziąść pieniędzy na lekarstwo, więc prosi o pożyczenie 2 koron, które zaraz księdzu w domu chorego zwróci. Księdza coś „pikło" czy to wszystko prawda. Niespostrzeżenie szepnął do zakrystyana, by pobiegł czemprędzej i rzecz zbadał. Pokazało się, że wszystko było kłamstwem i dla uzyskania marnych 2-ch koron młoda oszustka nie wahała się takiego oburzającego środka chwycić. Oszustkę oddano w ręce policyi.

Zmyślność wyżła. Przed kilku dniami o godz. 8 rano zjawił się przed bramą szpitala w Londynie pies należący do gatunku wyżłów i zaczął wyć bardzo żałośnie. Gdy stróż, widocznie jakiś litościwy człowiek, otworzył bramę, zobaczył wchodzącego wyżła ze zupełnie zmiażdżoną łapą. Żal mu było psiska, litośnie nań spoglądającego, obmył zranioną łapę i obandażował. Pies wśród tej operacyi zachował się spokojnie, tylko od czasu do czasu lizał ręce niosącemu pomoc lekarską. Po obmyciu wodą karbulową i obandażowaniu łapy wyżeł opuścił szpital, pomyrdując kiciastym ogonem z zadowolenia. Odtąd codziennie punktualnie przychodził pies do szpitala, gdzie już nie stróż, ale prawdziwy doktór zajął się leczeniem jego łapy, która się doskonale goiła i zmyślny wyżeł wkrótce będzie miał łapę zupełnie zdrową.

Wstrętny zabobon. Od dłuższego czasu grasuje epidemia szkarlatyny w dwóch rumuńskich gminach T e s t i a n a i T i s m a n a, porywając mnóstwo dzieci na tamten świat. Przed kilku dniami rozeszła się pogłoska wśród włościan, że tu wszelkie zaradzania lekarskie nic nie pomogą i że tylko wówczas epidemia ustanie, gdy trupa przed pół rokiem w gm. Tismana Maryi Bestiny spalą! Kupa włościan udała się na cmentarz i po odkopaniu kilkudziesięciu grobów nareszcie natrafiono na grób Maryi Bestiny. Hakami wydobyto trupa, powleczono go do pobliskiego lasku i tam na stosie wśród obelżywych krzyków spalono! Władza, dowiedziawszy się o tym barbarzyńskim zabobonie wdrożyła dochodzenie przeciw bezszczeńcicielom grobów nieboszczyków.

Do takich wstrętnych a bezrozumnych wykroczeń prowadzi ciemnota, brak oświaty. I wśród naszego ludu tu i owdzie plątają się jeszcze niektóre zabobony ale przy wzmagającej się oświacie znikają i w zupełności znikną, jak znikły zabobonne wierzenia w istnienie jakichś b o g i e n e k, z w o d z i c i e l ó w, t o p i e l c ó w, c h m u r n i k ó w, s t r z y g o n i ó w i t. p.

O rety — „kamień" ożył?! W pewnem gospodarstwie w Anglii już od kilku lat należał do domowników żółw oswojony. Wiadomo, że żółwie należą do tych zwierząt, które na zimę zasypiają. Otóż i ten oswojony żółw na sen zimowy wybrał kącik w komórce węglowej przytykającej do kuchni. Z początkiem roku przyjęto nową kucharkę, która o żółwiu śpiącym w komórce wcale nie wiedziała. Po kilkunastu tygodniach nagle rozległ się w kuchni przeraźliwy krzyk. Wszyscy domownicy zbiegli się a drżąca ze strachem kucharka wskazując na idącego żółwia ku niej krzyczała: „O rety, k a m i e ń, którym czasy tłukła węgle o ż y ł!" Śpiącego snem zimowym żółwia wzięła kucharka za kamień, a że skorupa żółwia jest ogromnie twardą, więc używała tego w jej mniemaniu kamienia do tłuczenia węgla. Można więc sobie wyobrazić przestrach kucharki, gdy zobaczyła poruszający się ten kamień.

Komedya z pomyłki. Pewien wiedeński fijakier zabawiał się w szynku przy kieliszku aż do godz. 1-szej w nocy. Uraczywszy się jak się patrzy, chwiejąc się na nogach to w tę to w ową stronę podążył ku domowi, pogwizdując i pomrukując pod nosem. Ot upił się w „porządku" ale mimo to trafił do niby swojej kamienicy. Stróż na odgłos dzwonka otworzył bramę i dobrze „z a m r o ż o n y" fiakier zaczął się gramolić po schodach na 3-cie piętro, gdzie mieszkał. Na schodach było ciemno a i w głowie niejasno. Wygramoliwszy się na 2-gie piętro, w mniemaniu, że jest na trzeciem, zapukał do drzwi, ale obcego mieszkania. Lokator krawiec drzwi otworzył, jednak sądząc, że to jakiś złodziej, uderzył go w twarz wyrzucił i drzwi zamknął. Żona fijakra, usłyszawszy jakiś hałas, zeszła ze światłem i chwiejącego się małżonka i wymachującego rękami zabrała do mieszkania. Na drugi dzień fijakier wniósł skargę na krawca o pobicie. Podczas rozprawy pyta się sędzia krawca, dlaczego uderzył fija-

kra w twarz i czy poczuwa się do winy? Oskarżony tłumaczy się, że fiakra wziął za złodzieja i dlatego tak z nim niegościnnie postąpił.

Sędzia: A czy się z pomyłki nie tłumaczył?

Oskarżony: Nie, tylko mówił bezrozumne słowa, bądźże rozumna, uspokój się żoneczko, stul pysk i t. d.

Oskarżyciel: to wszystko możliwe bo moja stara tak mię traktuje i robi mi „krawal“, gdy więcej się napiję i później wrócę do domu, jednak żądam ukarania oskarżonego, bo za co on mię bił. Ponieważ żona oskarżyciela była wezwaną za świadka, więc sędzia pyta się jej, czy widziała, jak krawiec uderzył jej męża. Nie, odpowiedziała. Dobrze mu się stało i ten pan dobrze zrobił, bo jabym z nim nie inaczej zrobiła, gdyby wprost był przyszedł do domu. Zwróciwszy się zaś do męża powiedziała: Na to, co cię spotkało zasłużyłeś. Temu panu masz przebaczyć, od skargi odstąpić i podziękować temu panu, że się na tym skończyło, bo jabym cię była lepiej potraktowała! Zrozumiałeś?

Oskarżyciel: Ano, kiedy tak mówisz, to zrozumiałem i odstępuję od skargi. Sędzia wydał wyrok uwalniający. Małżonka jeszcze raz zwróciła się do męża ze słowami: „Pamiętaj sobie, co cię czeka jak się jeszcze raz upijesz i późno przyjdziesz, będziesz miał sprawę nie z tym panem ale ze mną! Zrozumiałeś?“ Zrozumiałem, i zapamiętam odpowiedział małżonek. Podczas tej rozprawy obecni formalnie kładli się od śmiechu i bawili się jak na najlepszej komedyi w teatrze. A to dopiero Herod baba, jak to powiadają.

Wojna „mleczna“. Wnet by ktoś zrozumiał, że w którymś kraju w bitwie zamiast gwerów i armat używają mleka! Tymczasem rzecz się ma tak. W mieście Neapolu od niepamiętnych czasów był zwyczaj sprzedawania jarzyn i mleka na ulicach. Obecnie Rada miejska zabroniła tego i mleko wolno teraz tylko w sklepach sprzedawać. Zakaz ten wywołał ogromne oburzenie wśród okolicznych włościan i urządzili strejk w dowozie mleka. Najbardziej jednak kobiety wzięły sobie do serca ten zakaz, który je tak rozłościł, że wpadają do sklepów z mlekiem, biją sprzedających i kupujących i wylewają mleko. Biada służącej lub służącemu, gdyby ich zwłaszcza kobiety spotkały niosących mleko. Skutkiem tej wojny „mlecznej“ mieszkańcy Neapolu cierpią na brak mleka.

Policya robi co może, wydaje różne surowe i daleko idące rozporządzenia, jednak trudną jest walka z kobietami. Czy kobiety w tej wojnie mlecznej zwyciężą, czy dawny zwyczaj sprzedawania mleka na ulicach i mieszkańcom dogodniejszy, nie wiedzieć, bo władza upiera się przy swym zakazie ze względów zdrowotnych.

Osobliwy powód. W Paryżu zamordowała 27 letnia pani Boucher swego o 10 lat starszego męża, który był inżynierem ponieważ był — *za piękny*. Był to podobno wierny mąż, i dobry ojciec, ponieważ jednak swoją urodą zwracał często na siebie uwagę kobiet, opanowała jego żonę zazdrość nieuzasadniona, do tego stopnia, że gdy się mąż ubierał — zastrzeliła go. Po dokonaniu morderstwa poszła wraz z dzieckiem do komisarza policyi aby się oskarżyć. — Z płaczem mówiła do niego: „Był za piękny! i takby mi go odebrano“. Istotnie ważny powód do zabijania!

Szkoła chowu drobiu. Założona w Zielonej pod Rawą ruską Szkoła chowu drobiu, udziela nauki w teoryi i praktyce, mianowicie: wylęgania i wychowywania naturalnego i za pomocą aparatów, urządzania kurników hygieny drobiu, żywienia racyonalnego, tuczenia i zabijania i przygotowania do wysyłki, prowadzenia ras i założenia stada, prowadzenia rachunków gospodarstwa drobiowego, o chorobach drobiu i rasach. Gospodarstwo szkolne mieści się w chatach wiejskich i obejmuje 9 kurników drobiu starego — 5 dla młodzieży, aparaty wylęgowe i wychowawcze dla kurcząt, gąsiąt i kacząt. Szkoła zajmuje się rasą kur miejscowych. Kursa trwają od czerwca do listopada. Warunki przyjęcia uczenic: Ukończony rok 16 życia, metryka chrztu, świadectwo moralności, świadectwo ukończenia szkoły ludowej. — Opłata wynosi za kurs dwumiesięczny 300 koron na utrzymanie, mieszkanie i naukę; składa ją uczenica w dzień wpisania się do szkoły. Wszelkie prace w zakładzie uczenice wykonywują własnoręcznie. Świadectwo uzdolnienia do samoistnego kierowania gospodarstwem drobiowem potwierdza delegat Wydziału krajowego.—Dla niezamożnych uczenic udzielają stypendyów: Wydział krajowy i Towarzystwo gospodarcze we Lwowie.

Wyzwanie Księcia Jerzego na pojedynek.

Major kawaleryi Okanowicz, który uchodzi za najostrzejszego przeciwnika księcia serbskiego Jerzego, tudzież agituje wszędzie przeciwko niemu, posłał onegdaj dwóch swoich świadków do księcia, którzy mieli zarządać od niego, albo usprawiedliwienia się z powodu obrazy majora Okanowicza, albo też załatwienia tej sprawy przez pojedynek. Jednym ze świadków był pensyonowany major Damjan-Damjanowicz, słynny spiskowiec, a obecny redaktor radykalnego pisma serbskiego. Skoro się dowiedział książę o ich przybyciu, kazał służącemu wyrzucić ich za drzwi i oświadczyć:

„Nie wolno bandzie spiskowców przekraczać progu domu mojego; wzbraniam się ze względu na mą godność wchodzić w jakiekolwiek pertraktacye ze spiskowcami“.

Major Okanowicz stara się obecnie o wynalezienie dwóch świadków z pomiędzy oficerów, którzy nie należeli do spisku. Wszyscy jednak odmawiają mu pomocy. Według obiegających pogłosek ma być major Okanowicz postawiony przed sąd wojskowy za obrazę księcia.

Major zgłosił się do króla na audyencyę, jednakże król Piotr go nie przyjął.

Powód cały tej sprawy był następujący: Książę Jerzy znajdował się w sali posłuchań w konaku. W tej chwili wszedł tam właśnie major Okanowicz. Skoro go książę zobaczył, zawołał do niego w obecności kilkunastu osób, jak śmie przychodzić do konaku.

— „Pan chce osłabić uczucie mego ojca dla mnie“ — krzyknął książę — czuje się pan potężniejszy w tem państwie jak Jerzy Karageorgiewicz?

Książę zapalał się coraz bardziej.

— Kto pan jesteś i ci, których pan zastępuje? Tchórze, zdrajcy, słynne szpiegi. Król jednak nie będzie się teraz łudził co do waszego postępowania. Jego najstarszy syn jest mu bliższy, niż którykolwiek z was.

Na takie słowa uniósł się major Okanowicz i zawołał:

— „Proszę zatem iść i wpuścić nas razem przed oblicze króla“.

Po tych słowach ruszył naprzód i starał się otworzyć drzwi do gabinetu królewskiego, jednak stojący koło drzwi królewskich adjutant, odepchnął go stamtąd. Wtedy książę rozpoczął na nowo przezywać majora i jego partję, zdrajcami. Aby uniknąć czynnej zniewagi, opuścił major Okanowicz prędko salę posłuchań.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. F, Kolasa. Do końca b. r. jest zapłacone, książkę wysłaliśmy.

Polewka Segeswar. Należy się udać po informacyę listownie pod adresem: Biuro pośrednictwa pracy Kraków ul. Jabłonowskich 19.

Plaszczak Maków. Gazetę wysyłamy regularnie, gdzie tonie nie wiemy, reklamacyę otrzymaliśmy dopiero jednę i na nią odpisujemy. Niepodobna by gazeta przez 2 miesiące ginęła.

Wydawca i Red. odpowiedzialny: Ks. Andrzej Szponder. Drukiem W. Poturalskiego w Podgórzu.